All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.
565 Noble St.
CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI I Sp.
wydawcy.

PAMIĘTAJ ABYŚ DZIEŃ ŚWIĘTY ŚWIĘCIŁ

Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00. Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c.; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 12go SIERPNIA 1897 ROKU. Nr. 32.

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter. Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 12 Sierpnia, Klary. Piątek 13 Sierpnia, Hipolita. Sobota 14 Sierpnia, S. d. Euzebiusz. Niedziela 15 Sierpnia, Wnieb. P. M. Poniedziałek 16 Sierpnia, Rocha m. Wtorek 17 Sierpnia, Jacka m. Sroda 18 Sierpnia, Heleny kr.

Na Niedzielę X po Zielonych Świątkach.

Ewangielia św. Łukaszą w rozdziale XVIII.

W owym czasie rzekł Jezus do niektórych, którzy ufali sami w sobie, jakoby sprawiedliwymi byli, a innymi gardzili, to podobieństwo: Dwóch ludzi wstąpiło do kościoła, aby się modlili, jeden Faryzeusz, a drugi celnik. Faryzeusz stojąc, tak się sam u siebie modlił: Boże! dziękuję Tobie, że nie jestem jako inni ludzie, drapieżni, niesprawiedliwi, cudzołożnicy, jako i ten celnik. Poszczę dwakroć w tydzień, i daję ze wszystkiego, co mam, dziesięciny. A celnik stojąc z daleka, nie chciał podnieść oczu w niebo, ale bił się w piersi, mówiąc: Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu. Powiadam wam: ten odszedł usprawiedliwiony do domu swego. Albowiem ktokolwiek się podwyższa, będzie poniżon, a ktokolwiek się uniża, będzie podwyższon.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

BOŻY ZNAK.

Było to w roku 995.

Ciemne skrzydła nocy rozpostarły się nad ziemią, a cisza ukołysała miasto. Usnął stary Kraków, a tylko czuwały straże u bram jego i Wisła szemrząc, płynęła dalej.

Drogą z pod lasów szedł jakiś podróżny do miasta. Po jego chodzie poznać było łatwo, iż jest bardzo zmęczony. Gdy zbliżył się do bramy, dowódzcy straży pokazał żelazny pierścień, a ten natychmiast rozkazał nieznajomego wpuścić do miasta.

— Radbym, abyście mnie też zaraz kazali odprowadzić do króla.

— Chętniebym to uczynił — rzekł dowódzca, lecz trudno, bo nasz król miłościwy wyjechał, jak zwykle w czasie pokoju, aby opatrzyć zamki obronne po kraju i przekonać się, czy gdzie ludowi jakiej niesprawiedliwości nie wyrządzają.

Wędrowiec usłyszawszy to, zamyślił się.

Zauważył to dowódzca, iż nieznajomy smuci się, nie zastawszy króla, więc powiada:

— Oczekujemy powrotu króla Bolesława lada dzień, więc możecie na niego poczekać. Jeźliście tu obcy, to was zaprowadzę do wójta, który pilnuje spraw miasta a on wam da pomieszkanie.

— Dziękuję! Pójdę i sam sobie wyszukam u ludzi kąta na przytułek.

— Ale — dodał dowódzca — musicie być ostróżni. Jeśli jesteście człowiekiem nowej wiary, to nie mówcie o tem śmiało, bo tu teraz nasza wiara walczy ze starą i zgody nie ma.

Podróżny pożegnał się i poszedł do

miasta. Idąc, natrafił na stary dom, w pół prawie rozwalony. Drzwi były zaparte, więc podróżny zapukał. Otworzyła mu stara kobieta i wprowadziła do izby, w której się palił ogień na ognisku złożonem z kamieni.

— Prosiłbym o przytułek — rzekł podróżny.

— Siadajcie, oto chleb i miód, jest i mięsa trochę.

— A z daleka idziecie?

— Idę z zachodu, z bardzo daleka.

Wędrowiec usiadł, a stara kobieta z córką zabrała się do roboty. Wzięły dwie żerdzie, złożyły je w krzyż i związały z sobą. Miały one bowiem ubierać tak zwaną "Marzannę" tj. bogini śmierci, którą zawsze na wiosnę topiono w pogańskich czasach naszego narodu.

Podróżny spojrzał na tę robotę, a wskazując na związane dwie żerdzie, spytał kobiety:

— Czy wy wiecie, że tak związane drzewa są znakiem nowej wiary?

— A, prawda, matusiu — zawołała młodsza, taki sam znak Mieszko założył na świątyni Poświta na Wawelu i teraz już tę świątynię nazywają kościołem.

Stara kobieta z niechęcią spojrzała na nieznajomego i rzekła:

— Zkądże wam to przyszło na myśl, iż żerdki związane na Marzannę są podobne do znaku nowej wiary? Ja tyle lat już Marzannę do topienia ubieram, a nigdy mi to na myśl nie przyszło.

Podróżny nic na to rzekł, a kobiety tymczasem owinęły żerdzie słomą, ubrały bałwana w koszulę i spodnicę, dały mu chustę na głowę, a postać tego bałwana była istotnie do śmierci podobna, do śmierci, wyciągającej ręce, by schwytać wiele ofiar.

— A czy wam słudzy króla pozwolą topić Marzannę? — pytał nieznajomy, a stara kobieta na to:

— O, my nie pytamy się o to. Ja Jestem wdową po ostatnim kapłanie w świątyni Poświta, a dokąd ja żyję, lud nie zapomni starej wiary i starych obyczajów. Rano, skoro świt, pójdziemy i utopimy Marzannę, zanim się pachołkowie zbiegną.

Jak stara mówiła, tak się stało.

O świcie zbudził podróżnego szmer. Kilkanaście osób było już w izbie, a te wziąwszy bałwana na ręce, wyniosły go cichaczem i podniósłszy jak chorągiew wysoko, szły z nim do rynku.

Nieznajomy pospieszył za nimi.

Gromadka czcicieli bałwana powiększyła się coraz bardziej, przy końcu ulicy zatrzymali się wszyscy przy małem jeziorku. Tu jeszcze większe gromady czekały, a obaczywszy Marzannę, poczęli wszyscy śpiewać:

Śmierć się wije u płotu,
Szukająca kłopotu.

Przy końcu pieśni rzucono bałwana w wodę. Miało to oznaczać, iż zimową porę topią w chwili powrotu wiosny. A gdy Marzannę wrzucono, wszyscy poczęli jak najspieszniej uciekać. Bo tak mówiono, że kto nie ucieknie, albo się oglądnie, lub stanie, ten umrze. Więc szalonym pędem rzucono się do ucieczki, aż nagle jakiś głos silny, potężny zawołał:

— Stójcie!

Mimowoli każdy prawie obrócił się i spojrzał w stronę, zkąd głos pochodził. Nieznajomy człek stał nad brzegiem jeziorka i szybko zdzierał z Marzanny szmaty i słomę, a gdy już tylko zostały dwie żerdzie na krzyż związane, podniósł je w górę i wołał silnie:

— Stójcie, a patrzcie!

Przesądni, zabobonni poganie bali się stać i patrzeć, bo to u nich znaczyło śmierć, ale jakaś wielka siła trzymała ich jak przykutych.

Nieznajomy mówił:

— Oto patrzcie! W utopionej śmierci

znachodzi się znak życią wiecznego. Nowy znak wiary prawdziwej powstaje na grobie bożka śmierci pradziadów naszych. Patrzcie! Oto po utopieniu Marzanny znachodzi się krzyż, znak taki sam, jaki się złoci na szczycie zamku i nowego kościoła.

Słowa te zrobiły silne wrażenie. Lud zebrał się w około nieznajomego, a ten słowami natchnionej miłości i siły wielkiej mówił długo, a pięknie, a porywająco. Opowiadał historyą męki Zbawiciela, jego śmierć i zmartwychwstanie w chwale, pokonanie śmierci grzechu i otwarcie wrót do wieczności.

Słowa jego przemówiły potężnie do serc wszystkich, to też gdy nieznajomy skończył, tłum ludu upadł na kolana przed znakiem krzyża, trzymanym w ręku nieznajomego i łzami skrapiał brzegi jeziora.

W tej chwili ozwały się trąby. Ziemia jęknęła pod kopytami, król Bolesław Chrobry z rycerzami wjechał na rynek.

Obaczywszy mówcę, zbliżył się do niego i zawołał:

— Witajcie, Wojciechu! Szczęść wam Boże na ziemi mojej, na ziemi polskiej.

Ów nieznajomy to był św. Wojciech, idący na Pomorze. Zyskał on wtedy w Krakowie wiele serc dla prawdziwej wiary, a lud go aniołem i posłańcem Bożym nazwał.

W parę lat potem w tem miejscu, gdzie stało jeziorko, król Bolesław wybudował kościół. Stoi on do dziś. Jest to maleńki stary kościółek św. Wojciecha.

I jak się to dziwnie a pięknie złożyło. W miejscu, w którem po raz ostatni utopiono znak pogańskiego bóstwa, zabłysnął na wieżyczce kościoła nowy znak, — znak Boży, to jest krzyż z rozpiętemi ramionami. I istotnie śmierć wieczna tu utonęła, otwarły się zaś tu wrota do życia wiecznego. Boży znak, wzniesiony przez św. Wojciecha, zalśnił na ziemi polskiej i wzniesiony ku niebu, daje świadectwo naszej wiary.

900 lat znak Boży świeci tej ojczyźnie i jej dzieciom, — obyż lśnił jasno, a my, abyśmy nie dozwolili nigdy wrogom wiary i ojczyzny jego zaćmić ani znieważyć!

SWIĘTY EUSTACHIUSZ.

Dramat historyczny w pięciu odsłonach.

Przełożył na polskie Ks. J. Gieburowski, C. R.

Ciąg dalszy.

ODSŁONA DRUGA.

Rzecz dzieje się w sali cesarskiego pałacu w Rzymie.

Scena Pierwsza.

Trajan (*smutnie chodzi tam i napowrót miarowemi krokami, czasem przystając*). Naprawdę, ciężkie to brzemię ta korona cesarska! Brzemię, które człowieka zgnieść może!.... Gdzież jest on pokój mej duszy, on pokój, którego tak błogo w mej młodości zażywałem, kiedym to jeszcze żył w mych ojczystych stronach w Hiszpanii? Los czy przypadek, nie wiem, wyniósł mię, prawda, na tron cesarski, ale niezadowolnił mnie. Ja mam rządzić 150 milionami ludzi; dwie trzecie części świata podlegają mojemu berłu; wszystkich mam zadowolnić, kiedy ja sam nad sobą panować nie potrafię; kiedy ja sam z siebie jestem niezadowolony. W kraju moim mam być krzewicielem pokoju; ale mną samym targa niepokój.... Przez moją oszczędność napełniłem skarb państwa; ale cóż mi z tego, kiedy tu, tu w mej duszy jest próżnia.... Nie! nie jest próżno w mej duszy, bo wyrzuty i zgryzoty sumienia ją napełniają.... Kiedym zasiadł na tronie cesarskim, podałem prefektowi mej gwardyi przybocznej miecz i powiedziałem: "Weźmij miecz i użyj go dla mnie, jeżeli będę

dobrze rządził; ale użyj go przeciwko mnie, jeżeli źle będę rządził!".... Dotychczas prefekt jeszcze nie dobył miecza przeciwko mnie; bo w obec nikczemnego i tyrańskiego panowania takiego Tyberyusza, Kaliguli, Nerona, Witeliusza i Domicyana, moje panowanie jest rzeczywiście szczęśliwem i błogosławionem. Przecież stałem na straży prawa, sprawiedliwości, sądownictwa; upokorzyłem wrogów, rozszerzyłem granice państwa aż na wschód po za rzekę Tygrys. Sam stałem na czele wypraw przeciwko Dacyi, Armenii, Mezopotamii, Asyryi; pobiłem Partów — brałem udział w wszystkich niebezpieczeństwach i trudach wojennych; chciałem dotrzeć aż do rzeki Indu i stać się drugim Alexandrem Wielkim. A czy państwo rzymskie stało się przez to szczęśliwszem? Czyż ja sam jestem szczęśliwym? Nie. Ale Rzymianie byli zadowoleni. Radowali się z moich zwycięztw, dawali uczty z okazyi moich zdobyczy, wynosili mnie po nad wszystkich i dali mi zaszczytny przydomek "Cesarza Najlepszego". Ale ja, nie byłem najlepszy; lud tego nie widział; ja oddałem się okrucieństwom a historya świata piętnować mię będzie znamieniem tyrana. Aby utrzymać wiarę w bożków i otoczyć ją opieką, ja zbroczyłem ręce moje krwią wielu — krwią spokojnych i zacnych ludzi, — bo krwią chrześcian; — i to zatruwa moje życie. Zdaje mi się, że dzień i noc widzę krew na moich rękach; a w nocy jakaś straszliwa mara sen mi odbiera... Najżywiej stoją mi przed oczyma i niepokoją co chwila, dwaj sędziwi biskupi chrześciańscy: stodwudziestoletni Szymon z Jerozolimy, którego rozkazałem ukrzyżować i ciało jego krukom na pożarcie rzucić, i również sędziwy Ignacy z Antyochii, którego kazałem rzucić na pożarcie lwom... (*staje i załamuje ręce*). Co ja zrobiłem? Czym obłąkany?.... (*chodzi dalej miarowemi krokami*). Przecież ci dwaj starcy byli tak zacni, jak rzadko się zdarza, a będąc w łaskach u potężnego Boga chrześcian, mogliby, gdyby tylko chcieli, za jego sprawą zgnieść i Jowisza i mnie z tronu strącić.... O ja nierozsądny!... Ale jednak nie mogę zaniechać prześladowania chrześcian.... (*chodzi niecierpliwie i szybko po sali*). Jakiż to zły duch wzniecił w mej duszy ten niepokój i tę walkę?!.... Ach! (*siada*) ta korona cesarska i panowanie już mi zbrzydły; życie mi się sprzykrzyło, a poklaski i uwielbienia głupiego motłochu jakże mi są wstrętne!.... Nie, nie, ja tego wszystkiego nie przeżyję.... (*dobywa miecza*). Ty mój ostry mieczu, ty sam jedyny możesz mi przynieść pokój i położyć koniec mym cierpieniom.

Służący Pałacowy. Najlepszy i najjaśniejszy cesarzu, filozof Plutarch i Pliniusz, wielkorządzca Bitynii, stoją w przedsionku i proszą o posłuchanie.

Trajan. Nie jestem dość dobrze usposobiony, abym mógł udzielić posłuchania; ale wprowadź ich (*zasiada na tronie*).

Scena Druga.

Trajan, Plutarch i Pliniusz.

Plutarch i Pliniusz (*padając na twarz przed cesarzem*). Bądź pozdrowiony najlepszy i najjaśniejszy cesarzu!

Trajan. Wstańcie. Witam was! czegoż sobie życzycie. Jakież sprawy przywiodły was tu do mnie?

Plutarch. Mój przyjaciel Pliniusz i ja, nie mogliśmy pominąć sposobności i szczęścia stanąć przed twoim obliczem, najjaśniejszy i najsławniejszy cesarzu, i oddać ci hołd najgłębszy.

Trajan. Plutarchu, tyleś się zajmował czynami wielkich mężów wschodu i zachodu, i tyle pięknych rzeczy o nich napisałeś; powinienbyś wiedzieć, że zasługi mężów nie zawsze się według osiągniętych skutków oceniają, ani też na odwrót, pożądane i osiągnięte cele nie zawsze przypisują się zasłu-

dze jednego męża. Wielu sprawom sprzyja tylko ślepy traf i ślepe szczęście, i wiele osiągniętych celów są owocem tylko żądzy chwały imienia i miłości własnej; także jest wiele uczynków, które tylko pozór mają cnoty i szlachetności, co w oczach męża rozumnego i uczciwego jest niczem innem jak utrapieniem, albo że tak powiem wspaniałym ciężarem. A ty Pliniuszu, od jak dawna przebywasz tutaj w Rzymie? Cóż się dzieje w Bitynii?

Pliniusz. Dopiero od tygodnia przebywam w Rzymie, a po paru dniach zamyślam wracać do Azyi. Poddani twoi, najpotężniejszy i najlepszy cesarzu, czują się szczęśliwymi pod twojem panowaniem. Tylko jedno, co jest dość smutnem i wywołuje niepokoje, mam ci, najjaśniejszy panie, do powiedzenia a mianowicie to, że wielu poddanych odczepia się od wiary bożków, a wstępuje do sekty chrześciańskiej. Prosiłbym cię, najjaśniejszy cesarzu, przy tej sposobności o pewne w tym względzie wskazówki.

Trajan. Pliniuszu, poruszasz bardzo mi nieprzyjemną sprawę. Zostań przy tem, com ci przedtem napisał: Nie trop chrześcian — sektę ich pozostaw własnemu jej losowi! Gdyby zaś przed tobą jakiego chrześcianina oskarzono, to staraj się wprzód w sposób łagodny pozyskać go dla wiary w bóżków i puszczaj go bezkarnie; ale gdyby który obstawał przy chrześciańskich zabobonach, wtedy dopiero ukarz go śmiercią, aby się prawu stało zadość.

Licyn (*nadchodzi*). Najłaskawszy cesarzu, prefekt otrzymał co tylko z wschodu pismo, które zawiera ważne sprawy, jak mówił (*odchodzi*).

Trajan (*czyta list i przerażony woła*): Na bogów, Partowie znów pod bronią; ich król Chosroes osadził na tronie armeńskim innego króla; wtrąca się zuchwale w prawa rzymskiego cesarza... Tego nie mogę płazem puścić, chwycę jeszcze raz za oręż i stanę na czele wyprawy przeciwko krnąbrnym Partom!.... Co myślisz Pliniuszu?

Pliniusz. Tak jest. Jeżeli rzecz pospolita rzymska chce utrzymać swoją powagę i nie chce iść w poniewierkę u innych narodów, to nie powinna cierpieć takiej zniewagi.

Plutarch. Cesarzu, niechaj mi będzie wolno wypowiedzieć zdanie: granice cesarstwa rzymskiego są aż zanadto na wschód wysunięte, tak iż nie mogą być skutecznie bronione. Cesarstwo rzymskie jest tak wielkiem i takiem nagromadzeniem różnych narodów, że tylko nadzwyczajnym wysiłkiem utrzymanem być może. Do tej trudności przyłącza się jeszcze wewnętrzna zgnilizna; trudno najjaśniejszy panie, tego przemilczeć nie można: Patryotyzm dawnych czasów ustąpił miejsca samolubstwu; dawniej Rzymianie lubowali się w życiu prostem — a teraz lubują się w przepychu i lenistwie; bojaźń bożków zupełnie zanikła, a co lepsi ludzie przechodzą na Chrystyanizm, gdzie się spodziewają to osiągnąć, co zaspakaja religijne ich potrzeby.

Cesarzu, nie łudź się tem, że państwo na silnych stoi podstawach!.... Miasto granice państwa rozszerzać i siły rozdrabniać, byłoby lepiej, najjaśniejszy panie, położyć tamę wewnętrznemu zepsuciu i chrześciaństwu, które wiele dobrych stron posiada i zdrowem jest w zasadach moralnych, żadnej przeszkody nie stawiać.... Chrześciaństwo, powiadam, jest w stanie odrodzić świat rzymski. Jako filozof, który zimno i bezstronnie zapatruje się na świat a bacznem okiem śledzi jego ruchy, musiałem to powiedzieć. Przebacz mi, najpotężniejszy i najlepszy cesarzu, moją otwartość!

Trajan. To coś powiedział, Plutarchu, wiele zawiera prawdy i nad tem będę się zastanawiał.

Scena Trzecia.

Poprzedni. Prefekt TREBONIUSZ.

TREBONIUSZ. Cesarzu, przebacz, że niewołany zbliżam się do ciebie! Znowu nadeszła bardzo nieprzyjemna wiadomość. Żydzi w Syryi i Egipcie się zbuntowali; wielkorządzcy tych prowincyi żądają posiłków wojskowych.

TRAJAN. Muszą się trzymać bez posiłków wojskowych; aż dopóki sam nadciągnę z wojskiem. Najprzód musi być Chosroes ukarany i Partowie upokorzeni. Urządzę wyprawę przeciwko nim, którą ja sam będę dowodził. Tylko potrzebuję dobrego i wypróbowanego dowódzcy, któryby był w stanie ściśle pełnić moje rozkazy; ja sam nie jestem w stanie należycie kierować wyprawą, bom zlamany na siłach. Ale gdzież szukać takiego dowódzcy w naszem państwie, na którego mógłbym się spuścić w wojnie? Wasi obecni dowódzcy są niedołężni!

TREBONIUSZ. W przeszłej wojnie z Partami, najlepszy cesarzu, sławnym był wódz Placyd i w nim położyłeś całe twoje zau fanie.

TRAJAN. Jestto prawdą; ale Placyd już nie istnieje.

PLINIUSZ. Cóż, czy umarł? bo w wojnie z Partami nie zginął.

TRAJAN. On żyje; ale jest zwolennikiem sekciarza Chrystusa i nazywa się Eustachiuszem.

PLUTACH. Jest więc prawdą to, com powiedział, że co najlepsi od nas się odwracają.

TRAJAN. Placyd czyli jak się teraz zowie Eustachiusz, utracił cały swój majątek; popadł u mnie w niełaskę i wyprowadził się do Egiptu.

PLUTARCH. Ja radzę, aby go odszukać i zamianować na nowo dowódzcą; on jako ubogi obecnie człowiek z pewnością przyjmie tak wysokie stanowisko.

TRAJAN. Więc, Treboniuszu, poślij ludzi do Egiptu z rozkazem, aby po całym kraju szukali dowódzcy Placyda, czyli raczej Eustachiusza; zawiadomij go o mej łasce i proś go, owszem zmuś go, aby objął dowództwo nad memi wojskami; kiedy powróci z wami, wojska nasze już będą gotowe do wymarszu!

TREBONIUSZ. Rozkaz twój, najlepszy cesarzu, ściśle będzie wykonany! Niech żyje najjaśniejszy i najlepszy cesarz!

PLUTARCH i PLINIUSZ. Niech żyje!!!

Dalszy ciąg nastąpi.

Obrona Trembowli.

(Ciąg dalszy.)

W progach komnaty stał poczet zbrojny,
Tam wódz Samuel siedzi za stołem,
Otoczon szlachty, rycerzy kołem,
I z nimi radzi o losie wojny.

Więc po kolei każdy brat rzecze,
A taka była treść owej rady,
Że trzeba karki poddać pod miecze,
Lub wejść z Tatarskim wodzem w układy.

Szczupły huf braci stu głów nie liczy,
Nie ma nadziei rychłej pomocy,
A ciemna chmara pogańskiej dziczy,
Zalega pola jak całun nocy.

Znów jeden z szlachty taką rzecz czyni:
,,Wyłom jest w murze, wątłe są bramy,
Ma wróg się pastwić, król nieobwini,
Jeżeli zgodnie twierdzę oddamy.''

Samuel wacha się i przekłada,
Że cześć rycerska poddać się wzbrania,
W końcu sam rzecze: ,,ha!...t rudna rada,''
I do umowy z wrogiem się skłania.

Westchnął starosta, list Baszy bierze,
I czyta zwolna słowo po słowie,
Trudno zaufać Tatarskiej wierze,
Więc treść układu rozważa w głowie.

Wreszcie wziął pióro... w tem szmer w ko-
Odwraca głowę, patrzy, o dziwy! (mnacie,
Niewiasta w czepcu i w białej szacie
Wbiega i woła: "stój nieszczęśliwy."

Blada jak widmo, czarne jej oczy
Rzucają iskry gniewu jak głownie,
Mocą go wzroku ku ziemi tłoczy,
Rękę wyrzuca w górę raptownie.

,,Patrz, mam dwie bronie, jedną na ciebie,
Jeśli podpiszesz, ja cię zabiję,
A w drugiej ręce mam broń dla siebie,
Na chwilę hańby tej nieprzeżyję."

Samuel rzucił pióro i woła:
,,Szał cię ogarnął, czego chcesz żono?
Nie mamy broni i ludzi zgoła,
Ta garstka całą naszą obroną."

Na to mu pani z szyderstwem rzecze:
,,Brak wam mój mężu serca nie dłoni,
Gdzie są dwie ręce, dwa jeno miecze,
Tam dość jest jeszcze ludzi i broni!"

Wszyscy rycerze ze czcią powstali,
Patrzą z podziwem w niewiasty lice,
Stoją na miejscu jak skamieniali,
Jej oczy świecą, jak dwie gromnice.

Samuel, rzekłbyś, nagle zbudzony,
Usłyszał z grobu grzmiący głos Piasta,
Woła: ,,czas nagli już do obrony,
Wstyd nam, boć prawdę mówi niewiasta."

I za miecz chwyta, kto jeno żyje,
I hasłem bitwy komnata dzwoni,
A jeden okrzyk na chwałę bije:
,,Na wały bracia, bracia do broni!"

Rycerze w szyku stają do bitwy,
Na wałach hymn się ozwał poranny,
Chylą się czoła ich do modlitwy,
Pieśń do Najświętszej wznosi się Panny.

Bóg wsparł rycerstwo polskie widomie,
Wódz wszędzie biega, zapala działa,
A jak chorągiew, tam, na wyłomie
Powiewa suknia Chrzanowskiej biała.

Kul niezabraknie, bo lecą gradem,
Sam wódz je ciągle zbiera i liczy,
Inni za jego idą przykładem,
I ślą z powrotem pogańskiej dziczy.

Próżno huf wrogów na wyłom bieży,
Bo tam niewiasta dzielna dowodzi,
Jej towarzysze biją z moździerzy,
I wróg w krwi własnej od rana brodzi.

Już obłok dymu niebo zakrywa,
A każdy rycerz jakby z granitu
Stoi na wałach, hymn święty śpiewa,
Rzekłbyś u sławy stanął już szczytu.

Dokończenie nastąpi.

NIEDŹWIEDNIK.

OPOWIADANIE.

Żył przed 50 laty szlachcic, zwany Niedźwiednik. Był to jego przydomek dla nadzwyczajnej siły, gdyż każdego przełamał niedźwiedzia, z którym się spotkał. Właściwie nazywał się Roch Dąbrowa. Postać jego nie okazywała bynajmniej tej olbrzymiej siły, którą dziwił i przestraszał. Wysoki, kształtny, topolowego wzrostu; poruszenia żywe, ręka nie wielka, ale żylasta, twarz wesoła i ciągle w uśmiechu. Nosił zwykle szarą kapotę i czapkę, na lewe ucho przekrzywioną. Mieszkał, w domostwie, nie wiele różniącem się od chałupy wieśniaka, a jeden zagon roli 12 łokci szeroki, 100 sążni długi, były całem dziedzictwem Nie dźwiednika. Żył pracowicie, uprawiał w pocie czoła ogródek i zagon, a w wolnych chwilach, zarzuciwszy strzelbę na plecy, szedł w obszerne knieje na grubego zwierza, co nie były tak puste, jak dzisiaj, kędy nie zobaczysz niedźwiedzia, jelenia i łosia. A przecież kaftan mam łosi i skór kilka na posłanie z łosiów, co ich sam powaliłem przed 40 laty. Gdzież to dziś zobaczysz? i sąsiedzi okoliczni dziwili się jego łowom. Nie

strzelił on do zająca, ani lisa; każdego ptaka omijał: lecz zato w obszernej puszczy nie darował niedźwiedziom, dzikom, łosiom, jeleniom, rysiom i wilkom, ale i w tem zachowywał strzególny zwyczaj. Żaden z myśliwych nie widział go, by użył strzelby na niedźwiedzia, chyba że niespodzianie go spotkał, kiedy nie miał swojego, jak go nazywał, kija. Była to pałka, jak dwie ręce gruba, u góry zaokrąglona na kształt buławy; nagłówek ten był nasadzony trójkątnemi gwoździami grubemi, a ze środka wychodził na łokieć długi, ostry, obosieczny dziryt.

Z taką bronią przyjmował zawsze niedźwiedzia i gdy ten rozjuszony, na dwóch łapach wspięty, zbliżył się do Dąbrowy, ten pchnął go naprzód dzirytem, a potem za jednem uderzeniem pałką rozciągał go u nóg swoich. Wtedy z radością uśmiechał się, naciskał lepiej czapkę na lewe ucho, dobywał myśliwskiego noża i nietylko, że odcinał, po zdjęciu skóry, łapy niedźwiedziowi, — ulubiony przysmak na wielkich stołach, — ale nadto wykrawał pieczenie które swemi delicyjami nazywał. Sąsiedni kmiecie, często rozmawiając o nim, gdy przyszło wspomnieć o nadzwyczajnej sile, zawsze mówili: Nie dziwota, musi być mocny, jak niedźwiedź, kiedy się żywi pieczeniami z niedźwiedzi i szpik z kości wypija. Mimo to wszakże nie mogli pojąć, jak człowiek taki może być zdrów i silny, nie pijąc ani wódki, ani miodu, ani piwa; napojem zwyczajnym u niego była kryniczna woda. Nie pogardzał i futrem z lisa, ale na niego umiał tak zręcznie stawiać samołówki, że w zimowej porze, kiedy najlepsze skóry, nietylko że bodaj nie corocznie sam się zaopatrywał w nową lisiurkę, ale za sprzedane futra zbierał niemało grosiwa.

Mówiono potajemnie, że ma wiele zakopanego grosiwa i musiał mieć wiele, bo o nic nikogo nie prosił. Samotny, bezżenny; łowy były dla niego rozrywką i uciechą. Pan na jednym zagonie, sam go łatwo mógł uprawić i zebrać. Ogród warzywny i sad, pełen smacznego owocu, dostarczały mu dosyć żywności przy obfitej zwierzynie. O! pamiętam jeszcze te gruszki-małgorzatki wczesne i jak czerwień, jabłka; wdzierałem się nieraz na drzewa i strząsałem owoc, a Niedźwiednik śmiał się ze swego, jak mnie nazywał, Tadeuszka. W obszernej izbie łoże było zasłane wilczemi i niedźwiedziemi skórami, inne rozesłane na ziemi; tu spały cztery ogromne kundle i wyżeł, a na wysokiem berle siedział uczony jastrząb, którego używał na ptaki i zające. Na cały nasz powiat Niedźwiednik był osobliwością; a trzeba wiedzieć, że wtedy u nas niebrakło silnych ludzi i dobrych myśliwych: wszakże wszyscy przy nim gaśli, jak klecha przed organistą. Nie dosyć, że na oszczep brał wielkie niedźwiedzie; ile razy dziedzicowi tego sioła, kędy mieszkał, chciał podarek zrobić, — a zawsze to czynił na kolędę i przed wielkanocą, — przywoził z kniei żywego dzika. Każdy się nad tem dziwił i z dalekich okolic zbiegali się myśliwi, by zobaczyć tak osobliwego strzelca. Był przytem pobożny i uczciwy człowiek, niektórzy oskarżali go o czary, że ma związki z djabłem, lecz to wszystko kłamali wierutnie. Mój rodzic, świętej pamięci, mieszkał o sześć mil od tej wioski, gdzie Niedźwiednik przesiadywał. Po wesołym kuligu z dziatwą i z matką naszą zajechał w tamte okolice. W dużych saniach siedziała pani matka i dwie dorosłe panny siostry; rodzic przy woźnicy sam powoził. W ostatni Wtorek podochocony wracał z nami wieczorem, a jechał żwawo, żeby w doma na popielec stanąć. Za gęstym lasem — pamiętam, jakby dzisiaj, bo miałem już lat dziesięć; — iskrzyło się niebo od gwiazd mnóstwa, świecił i księżyc; tak widno było, żeby szeląg znaleźć, za gęstym, mówię, lasem nagle konie poczęły



Rozkosze dziecięce.

parskać, a niebożczyk mój rodzic, widząc, co się święci, świsnął i jak wiatr, posunęły na ślizkim śniegu sanie. Wilków stado zabiegało nam z boku; skręcił końmi w inną stronę i na nieszczęście w rowie wywrócił. Pamiętam dobrze jego słowa, kiedy wystraszony zawołał, podniosłszy sanie: ,,Prędzej do sani! bo jeżeli nie ucieckniemy, zginiemy bez ratunku!'' Matka i panny siostry usiadły prędko; ruszył, co koń wyskoczy, a ja, zagrzebany w śniegu, zostałem zapomniany. Zerwałem się na nogi, wychyliłem głowę; widziałem, jak za rodzicem pędzą wilcy, z przestrachu przysiadłem, sen mię zmorzył i zmarzłem. Kiedym otworzył oczy, zobaczyłem pierwszy raz w życiu Niedźwiednika; nacierał mi twarz śniegiem, cztery ogromne kundle stały obok niego, a dalej jednokonne sanki, pełne lisów i trzy skóry wilcze. Gdy zobaczył, że żyję, zaniósł mnie do sanek i przywiózł do domu. Lecz nie zostawił mnie w ciepłej izbie; rozebrał do naga i na podwórzu, wśród mrozu, natarł mocno śniegiem: wtedy obwinął w skórę wilczą i położył na swojem łożu. W kilka dni już zdrów byłem, a Niedźwiednik, dowiedziawszy się, kto mój ojciec, odwiózł do domu. Drżało mi serce z radości, kiedym ujrzał suche gałęzie lipowej drogi i dwór mego ojca. Zostawił mnie w saniach, a sam wszedł do komnaty. Pan ojciec dopiero za powrotem do domu zobaczył, że syna stracił. Matka w saniach i panny siostry bez pamięci, ze strachu nawet wysieść nie mogły; w całym dworze powstał lament i płacz wielki, porozsyłano czeladź, ale szukano napróżno. Skłonił się rodzicowi Niedźwiednik i żeby zbytnia radość nie zaszkodziła, prosił do osobnej izby. Tam mu powiedział, jak mnie uratował i że przywiózł ze sobą. Pan ojciec nie wiedział, jak dziękować; płakał z radości, ściskał i całował mojego wybawcę. Powrócili do komnaty, gdzie matka i panny siostry zapłakane siedziały. Rodzic kazał jednej pobiedz do piwnicy po węgrzyna, a sam rzekł do matki mojej: ,,No! dziewczko moja, wieści nam pewne nasz sąsiad przywozi o naszym Tadeuszku''. Żyje?! zawołała. ,,Nietylko żyje, ale przyjechał''. — Ja zaraz wbiegłem do izby, upadłem do nóg panu ojcu i matce, a Niedźwiednik płakał i wszyscy. Kiedy go chciał rodzic węgrzynem poczęstować, podziękował za wino i żadnego daru nie przyjął, wyjąwszy strzelbę, jako pamiątkę. Jeżeli pan Chorąży, powiedział ojcu, chce mi wynagrodzić, niech samotnego Niedźwiednika często pan Tadeusz nawiedza. Nauczę go strzelać, a te odwiedziny rozweselą starego myśliwca. Nie długo się bawił, bo spieszył, jak mówił, ściągać lisy z samołówek. Od tego czasu zawsze co rok na miesiąc cały do niego wyjeżdżałem; on mnie wprawiał do strzelby i mogę rzec bez chluby, że po nim w naszej ziemi, jako myśliwy, rej wodziłem, a niemiałem, jak szesnasty roczek.

Często spraszał mój rodzic przyjaciół i krewnych na łowy, a miał u siebie dwie knieje; wtedy i mój wybawca zjeżdżał. Pamiętam dobrze, pokazał się raz ogromny niedźwiedź i szkody nie mało nam robił. Trzeba go było sprzątnąć. Wielu sąsiadów myśliwych zebrało się razem, był i Niedźwiednik; stałem blizko niego i ojca. Prędko psy go poruszyły, pokaleczył kilku i wypadł na drogę, kędyśmy stali. Niedźwiednik miał czerwoną czapkę, ku tej więc stronie rzucił się wściekły. Przypuścił go może na cztery kroki i wtedy podniósł jeszcze broń, spojrzał czy dobra podsypka, zmierzył, a z połyskiem powalił się niedźwiedź, ale tak blizko, że musiał uskoczyć, boby go był przygniótł ogromem swoim. Wesołe okrzyki rozległy się po lesie, a zwycięzca, oddawszy skórę i łapy, wykroił pieczeń i schował do torby.

Nadchodziły imieniny mojego rodzica; pojechałem do niego, ażeby zwierzyny przy-

sposobić. Na kuropatwy poszliśmy z jastrzębiem i bez strzału 20 par złowili. Wtedy Niedźwiednik rzekł do mnie: No! mój Tadeuszku, trzeba coś grubszego panu ojcu zawieźć; pojutrze imieniny, jutro ze świtem ułapiemy dzika żywego i tak zdrowego zawieziemy, jak te kuropatwy, co je wybraliśmy po jastrzębsku z pod odjazdu. Serce biło mi z radości, jeszcze bowiem nie widziałem, jakto można wziąść żywego dzika z kniei. Mało co spałem, przed świtem już byłem na nogach; ubrany Niedźwiednik wziął cztery swoje kundle, zarzucił strzelbę i ostry przywiązał do pasa obosieczny kordelas. Słońce jeno poczęło wschodzić, kiedy już byłem na stanowisku. Za małą chwilkę usłyszałem szczekanie psów głośne, a prędko potem słychać jeno było ciche warczenie. Poskoczyłem; patrzę i widzę, jak na małej łące kundle przytrzymały ogromnego dzika: dwóch trzymało za uszy, a dwóch za tylne racice. Usłyszałem trzask gałęzi i wnet pokazał się Niedźwiednik. Leciał prędko i widziałem, że pędził za psami; w rękach mu błyskał ostry kordelas. W pełnym biegu dosiadł na grzbiet dzika i sznurem surowcowym, co go miał za pasem, skrępował ryj dzika, wybił kły żelazem, a przebiwszy niem przednie pod kolanami racice, poza żyły tenże sam sznur przeciągnął i silnie związał. A on dzik ogromny, postrach psów i myśliwych, bezsilny upadł. Wtedy oparłszy zwycięzką nogę na czarno-osmolonym grzbiecie, rzekł do mnie: Tadeuszu, przy trzech brzozach stoi fura, sprowadźcie ją tutaj; ruszymy do dworu pana ojca z podarkiem myśliwskim. Siedząc na dziku uradowani, z pełną furą zwierzyny, żwawo popędzaliśmy konie i w domu stanęliśmy nad wieczorem. Ja rodzicowi ofiarowałem kuropatwy, dropia, sarnę i kilka zajęcy, a Niedźwiednik, przywiązawszy na długim sznurze dzika u lipy, co stała na środku obszernego podwórza, wszedł do komnaty, powinszował i poprosił, by wyszedł zobaczyć podarek starego łowcy.

Już wiele było gości; wszyscy, zdjęci ciekawością, wybiegli. Jakiż był ich podziw, gdy ujrzeli żywego dzika, co obchodził wkoło lipy! Rodzic mój rozradowany, wypił zdrowie z ogromnego puchara dzielnego myśliwca, i sąsiedzi powtórzyli to wszyscy. Wnet wyniesiono strzelb kilka; zaczęli strzelać podochoceni goście, a gdy dzika powalili na ziemię, trąbki myśliwych ogłosiły koniec tej uciechy. W on czas sąsiedzi porwali Niedźwiednika na ręce i nosili po całem podwórzu, śpiewając oną sławną myśliwską piosneczkę:

Siedzi zając pod miedzą
A myśliwi o nim nie wiedzą.

Stary strzelec płakał z radości; przy wieczerzy posadzono go na starszem miejscu, a co nie pił nigdy, wtedy rozkochał go węgrzyn. We dwa miesiące już płakałem nad jego grobem! — Tu westchnął boleśnie stary Tadeusz. — Jak żył, tak skończył; nie umarł zwyczajną śmiercią. Polowano na niedźwiedzicę, co wiele robiła w okolicy szkody. Wybrał się też Niedźwiednik ze swoim, jak nazywał, kijem; kij ten 14 zgładził niedźwiedzi. Kiedy, poruszona z legowiska, wypadła rozżarta, wtedy wysunął się zza drzewa i ugodził ostrym dzirytem, ale ten się osunął po kości; już nie miał czasu poprawić ciosu. Pochwyciła go w silne łapy. Blizko stojąc, usłyszałem jęk cichy i chrzęst gruchotanych kości. Zemściłem się, bo z mojej strzelby poległa od razu; ale mój wybawca leżał bez duszy, cały krwią zlany.

Tak skończył stary myśliwiec, jakiego już więcej oczy moje nie zobaczą. Opłakiwałem go ciężko, a świętej pamięci mój rodzic wystawił piękny krzyż z kamienia w tem miejscu, gdzie życie skończył, i na nim dał wyryć, jak upadł pod zajadłym niedźwiedziem.

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiaski moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

MAŁY ROBINSON
W PUSZCZY AMERYKAŃSKIEJ.

Ciąg dalszy.

V.

Ranek w lesie. — Papugi. — Owoce leśne. — Małpka. — Kolibry — Olbrzymi kokornak. — Rozmyślanie Janka.

Janek spał tak smacznie i spokojnie, jak gdyby leżał w wygodnem swem łóżeczku, pod troskliwą opieką matki. Opatrzność czuwała nad nim widocznie, gdyż żaden zwierz drapieżny nie zwietrzył jego obecności i nie przyszedł go pożreć. Gdy się przebudził z głębokiego snu, był już znowu dzień, promienie słońce przedzierały się przez zielone liście, a nad głową jego przeraźliwie krzyczało ptactwo, przelatujące po gałęziach. Chłopczyk spojrzał w górę i zobaczył kilkanaście prześlicznych papug czerwonych, usadowionych na drzewie. Wszystkie wołały na całe gardło: ,,A ra! a-ra!'' Papugi tego rodzaju od krzyku swojego otrzymały nazwę ,,Ara''.

Jankowi zdawało się zrazu, że się jeszcze zupełnie nie przebudził, że mu się śni to wszystko, ten las wspaniały, piękne ptactwo; spoglądał z przyjemnością dokoła, potem znów przymknął oczy i drzemał. Papugi zakrzyczały głośno: ara! ara! zatrzepotały skrzydłami i odleciały, cisza rozlana dokoła uśpiła znowu chłopczyka, śniło mu się, że jest w domu, że się bawi na ganku, a matka go woła na śniadanie. Więc zerwał się szybko, chciał biedz i na dobre się przebudził.

Przetarł oczy, obejrzał się dokoła, wszystko odrazu stanęło mu w pamięci, ogarnął go przestrach, wstał na nogi, postąpił parę kroków i patrzał. Ale gdzie okiem zajrzeć, nic tu nie było widać, tylko zieloność drzew, gęstwinę leśną i Janek zrozumiał dobrze, iż nie łatwo się stąd wydostanie.

W tej chwili jednak najwięcej mu głód dokuczał, przypomniał sobie piękny sen o śniadaniu, westchnął ciężko i łzy mu w oczach stanęły. A w tem usłyszał, jak coś ciężkiego spadło z góry na ziemię i spostrzegł duży jakiś przedmiot brunatny, okrągły, który się potoczył wśród liści, zaścielających ziemię. W tejże samej chwili niewielka małpka, nadzwyczaj zwinna, zeskoczyła z wysokiej gałęzi, mignęła przed oczyma Janka i pochwyciwszy zgrabnie przedniemi łapkami ów przedmiot, znowu na drzewo wskoczyła.

Poznał chłopczyk odrazu, co to było. Ojciec nieraz przynosił mu z lasu podobne owoce, duże drzewiaste torebki, napełnione smacznemi orzeszkami. Słyszał też od ojca, że z tych torebek krajowcy wyrabiają różne naczynia, a ponieważ owoc jest ulubionym przysmakiem małp, więc go przezwano małpim kociołkiem. O! żebyż to ta małpka chciała się z nim podzielić swojem śniadaniem! Ale Janek pomyślał sobie, że skoro jedna torebka spadła na ziemię, to widocznie niedaleko, rośnie drzewo, które je wydaje.

Wstał żwawo, spojrzał raz jeszcze na małpkę, która zajadała orzeszki, wykrzywiała się najzabawniej świecie! O! jakżeby ten widok ubawił był Janka, gdyby nie miał tak ciężkiej troski na sercu! Ale nie do śmiechu teraz było biednemu chłopcu, musiał szukać jakiejkolwiek żywności, ażeby z gło-

du nie zginąć. Wkrótce rozpoznał pośród innych drzew krużycę garnkową, przez krajowców zwaną sapucayą. Drzewo to przewyższało wszystkie inne ogromem swoim, liście miało wązkie, błyszczące, a z gałęzi zwieszało się mnóstwo torebek owocowych; ale jak tu ich dostać?

Janek nie umiał łazić tak zręcznie po drzewach, jak małpka; ona pewnie umyślnie zrzuciła na ziemię torebkę, ażeby pękła, upadając, nie wiedział więc co począć, gdy znów na jego szczęście spadły aż dwie torebki tuż pod jego stopami. Chłopczyk pochwycił je szybko i umknął w bok, gdyż w tejże samej chwili małpka zeskoczyła zdrzewa, a widząc, że jej z przed nosa sprzątnięto orzechy, zapiszczała gniewnie i zaczęła się wykrzywiać, pokazywać zęby, aż w końcu wlazła znowu na drzewo i zrzuciła parę innych torebek.

Janek usiadł trochę dalej ze swoją zdobyczą, bo przyszło mu na myśl, że spadające orzechy mogły mu głowę rozbić i zaczął smacznie zajadać. Wolałby był zapewne filiżankę mleka i wyborne placuszki z manioku, które matka nauczyła się przyrządzać od starej murzynki, ale dziękował Bogu i za to, a posiliwszy się, poszedł poszukać wody, bo mu się pić chciało. Natrafil wkrótce na mały, czysty strumyczek, zerwał u brzegu szeroki jakiś liść i nabrał w niego wody, jakby w miseczkę.

Ugasiwszy pragnienie, nasz Janek rzeźwiejszy troszkę usiadł nad strumykiem i zaczął się rozglądać dokoła. Prześliczny ptaszek, niewiększy od motyla, przeleciał przed nim tak szybko, jak strzała. Chłopczyna pogonił za nim wzrokiem, aż tu drugi ptaszek takiż sam pędem spuścił się z wysoka i zatrzymał się nagle przed nim w powietrzu, jak gdyby było na jakiejś niewidzialnej niteczce zawieszony. Janek mógł mu się doskonale przypatrzeć. Cudneż to było stworzenie! pióreczka jego jaśniały najświetniejszemi barwami: purpurowe, złociste, zielone, fioletowe odcienie mieniły się nakształt tęczowych blasków na tem drobniutkiem ciałku, a wśród tych barw jaskrawych ślicznie odbijały niektóre pióreczka czarne, lśniące jak aksamit. Wpatrując się uważniej, Janek spostrzegł, że skrzydełka ptaszyny drgały w powietrzu nadzwyczaj szybko i brzęczały przytem, jak to bywa u owadów. Nakoniec ptaszek podleciał, usiadł na poblizkiej gałęzi, gdzie wśród liści wychylał się pyszny kwiat purpurowy i długi, śpiczasty swój dziobek zatopił w głębi kwiatu. Nie zważał wcale na Janka, chociaż go widział z pewnością, nie okazywał najmniejszej obawy.

Janek znał takie ptaszki, ojciec pokazywał mu je parę razy, wiedział, że się nazywają kolibry, przebywają tylko w Ameryce i żywią się drobniutkiemi muszkami, które wydobywają z kielichów kwiatowych, wysysają także sok kwiatów, tak samo, jak motyle. Nadleciało jeszcze kilka kolibrów, wszystkie przelatywały z nadzwyczajną chyżością z gałęzi na gałąź, błyskając świetnemi skrzydełkami w powietrzu.

Janek tak się zapatrzył, tak się zajął tym widokiem, że wesoło prawie uśmiechał się do ślicznych ptasząt, pomimo swojego strapienia i w tej chwili przypomniał sobie słowa, wymówione przez matkę, gdy patrzała na fosforescencyą morską: ,,widok pięknych dzieł Bożych dziwnie uspokaja ducha".

Lecz myśl o matce przywiodła mu zarazem na pamięć, co się tam dziać musi z nieszczęśliwymi rodzicami; jaki był zapewne przestrach matki, gdy powróciła i nie zastała go koło domu, a cóż dopiero, gdy go nie odszukano do wieczora i ojciec powrócił i noc zapadła i minęła!....

Żal wielki ścisnął jego serce i skrucha serdeczna, westchnął gorąco do Boga, a potem postanowił odważnie znów puścić się w

drogę, w nadziei, że może już dziś przed wieczorem wydostanie się z gęstego lasu, lub napotka szukających go po lesie rodziców, lub wreszcie natrafi na jakichkolwiek ludzi, którzy go do domu odprowadzą.

W tej chwili spostrzegł, że zapomniał kapelusza w miejscu, gdzie nocował, pobiegł więc szybko w tę stronę, ażeby go zabrać, ale niestety, nie mógł go już nigdzie odszukać. Czy Janek znowu zabłądził i nie trafił do miejsca swojego noclegu, czy też małpka jaka porwała mu kapelusz, trudno to odgadnąć, dość, że go nie znalazł i musiał iść dalej z głową odkrytą.

W lesie był cień taki, że nie potrzebował kapelusza, ale na wszelki wypadek, mając nadzieję wydostać się z tej gęstwiny. Janek urwał parę dużych liści z długiemi ogonkami i urządził sobie z nich rodzaj parasola, splatając razem ogonki. Jak widzicie, chłopczyk nie upadał na duchu, ale postanowił radzić sobie, na wzór Robinsona. Szedł więc żwawo, trzymając parasol swój w ręku, gdy spostrzegł nad brzegiem strumienia przepyszny kwiat, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widział. Kwiat ten miał kształt hełmu, był jasno-purpurowy, a tak ogromny, jak hełm prawdziwy. Janek zerwał go ostrożnie i nałożył na głowę a spojrzawszy w strumień, jakby w zwierciadło, uśmiechnął się sam do siebie, tak ładnie wyglądała ta czapeczka.

Ten kwiat, którego Janek nie znał, rośnie w niektórych okolicach Ameryki południowej, na brzegach rzek i strumieni, jest to olbrzymi kokornak. I w naszym kraju można czasem napotkać kokornak, zwany powójnikowaty, dla tego, że się wije zwykle po płotach i zaroślach; ale drobne jego żółte kwiateczki chyba dla chrabąszczów za czapkę służyć by mogły. Okazalszy gatunek kokornaku, pochodzący z Ameryki, hodowany jest często po ogrodach, służy do obsadzenia altan, bo ma wijącą się łodygę i liście obszerne. Ogrodnicy nazywają go zwykle nazwą łacińską: Aristolocha. Ale kokornak, znaleziony przez Janka, był to prawdziwy olbrzym pomiędzy kokornakami.

Nie szukał już chłopczyna swojego kapelusza, przekonał się, że w takim lesie nie łatwo cośkolwiek odszukać. Pomyślał chwilkę i postanowił trzymać się brzegów strumienia, ażeby już przynajmniej w kółko się kręcić na jednem miejscu. Tak też zrobił, szedł ciągle brzegiem i spostrzegł, że strumień stawał się coraz szerszy, a w niektórych miejscach rozlewał się szeroko, jak jezioro.

— Wszystkie rzeki wpadają do morza — mówił Janek sam do siebie — więc idąc tak brzegiem, muszę dojść kiedyś aż do morza. Potem będę szedł znowu wybrzeżem morskiem i kiedyś trafię do portowego miasta, dostanę się pomiędzy ludzi i zaraz poproszę, ażeby mnie kto odprowadził do mamy i taty.

Janek był roztropny chłopczyk, zamiast więc oddawać się bezużytecznej rozpaczy, przypomniał sobie różne zasłyszane od matki wiadomości z geografii. Idąc ciągle niedaleko brzegu, był pewny, że postępuje coraz dalej, że nie błądzi, musiał więc kiedyś dostać się do ujścia strumienia.

Ciąg dalszy nastąpi.

CO MÓWI ZEGAR.

Gdy dzieci poczną mówić i myśleć, natenczas jak nieznośne muchy naprzykrzają się rodzicom najrozmaitszemi pytaniami. Wszystko je bawi, zaciekawia. Niema przedmiotu, któryby dziecku nie podpadł i nad któremby się nie zastanawiało. Jeśli rodzice i inne starsze osoby, mające dozór nad dzieckiem, mają cierpliwość, jeśli przytem mają szczerą wolę ciekawości jego zadosyć

uczynić, jeśli dalej potrafią być jego nauczycielem, natenczas oddają sobie i dziecku nieocenione usługi. Kształcą w niem ducha i serce, rozwijają w niem zarodki do wszystkiego dobrego, rozpalają miłość ku Bogu i bliźniemu swemu. Dziecko słucha nieraz obojętnie napomnień i pouczeń, udzielanych mu ze strony rodziców, ale z natężoną uwagą słucha odpowiedzi na zadawane zapytania i wtedy takowa łatwiej zapuszcza korzenie w sercu jego.

Małego Stasia zajmuje nadzwyczaj zegar; ojciec pozwalał mu już często oglądać urządzenie wewnętrzne zegara, tłómaczył mu znaczenie kółek, o ile to tylko chłopiec zdołał pojąć; to wszystko jednak mu nie wystarcza, obchodzi go zupełnie coś innego. Zegarek potrafi mówić — tłómaczy sobie stanowczo: "Cóż ten zegarek kieszonkowy zawsze powiada?" pytał Stasiu ojca. "Toć słyszysz: tyk, tak robi." "A zegar na biurku?" "Ten wybija godziny; jesteś teraz zadowolony, mały człowieku?" Stasiu jednak zadowolonym nie jest, poznać to po jego poważnej minie i potrząsaniu główką. Pragnąłby on wiedzieć więcej i coś innego; ojciec posłał go jednak dla zabawienia się do małych towarzyszy swych.

Po niejakim czasie zbliża się do Stasia posługaczka. Właśnie co tylko zegar wybił godzinę. "Zrozumiałaś, Kasiu, co on powiedział?" "O kimże to mówisz?" pyta posługaczka. "O nim, o zegarze", mówi Stasiu i na niego wskazuje. Posługaczka z zdziwieniem wpatruje się w chłopca. "Co ci się to po głowie snuje, głuptasiu, zegar mówić nie potrafi, on wybił swe godziny i na tem koniec."

Rozczarowany z miną niedowierzającą, odwraca się chłopiec. Znowu, jak to zwykł był czynić, stawia się przed zegar i wpatruje się badawczo w cudowny ten przedmiot. Powoli nadchodzi zmierzch i matka, skończywszy zwykłe zajęcia, usiada przy dzieciach, ażeby się z niemi pobawić. Stasiu przymila się do matki, jak może. "Mama musi wiedzieć!" myśli sobie, "ją muszę się zapytać."

Tą razą trafił dobrze. Oko matki potrafi czytać w myślach dziecka, potrafi pytania jego zadowolnić w taki sposób, że młodziuchny umysł jego będzie miał dużo nowego do myślenia. "Tak jest, moje dziecko, masz słuszność. Każdy zegar mówi do nas, i bardzo jest dobrze, gdy sobie spamiętamy, co zegar do nas mówi. Posłuchaj zatem! Rano, gdy macie podnieść się z łóżeczka, słyszycie dźwięk zegara. Zegar powiada: "Dziękuj Bogu, który cię ochraniał opieką Swą przez całą długą noc. Nie zapominaj, dziecko moje, dziękować Ojcu niebieskiemu w porannej modlitwie." "A cóż on później mówi", pytają teraz dzieci jednogłośnie. "Gdy zegar mówi "tyk, tak", to się to nazywa: "Czas uchodzi, dla tego staraj się go wyzyskać. Wy dzieci moje kochane, wyzyskujecie najlepiej godziny dzienne, gdy jesteście posłuszne, dobre i zgodliwe. Gdy podrośniecie, mówi zegar: uczcie się pilnie! Gdy zaś będziecie dużymi ludźmi, ma was zegar nietylko uczyć wiedzieć, która jest godzina, lecz musi wam także przypominać, że we wszystkich godzinach, których nam użycza nasz Ojciec niebieski, powinnyście być dobre, pobożne i pilne, abyście, gdy nasza ostatnia wybije godzina, mogli się dostać do naszego Ojca niebieskiego. Nieprawda?" Dzieci przytaknęły główkami; przytuliły się do matki, jeden Stasiu miał jeszcze coś na serduszku. "Natenczas powiada zapewne zegar "dobranoc" wieczorem?" — pytał. "Tak jest, gdy zegar bije ósmą godzinę, a chłopczyk udaje się na spoczynek, natenczas zegar powiada: Poleć się Bogu, moje dobre dziecko! Widzisz, przez cały dzień pozwolił cię Bóg ochronić przez Swego Anioła Stróża. Jak łatwo mogłoby ci się było coś wydarzyć!

Mógłbyś był łatwo upaść, skaleczyć się lub zachorować. Nigdy nie powinieneś za wszystko dobre przestać dziękować. Powinieneś Go prosić, ażeby cię chronił także i w nocy, także rodziców i rodzeństwo twoje, mój Stasiu kochany." "Teraz się cieszę, ponieważ wiem, co zegar mówi", mówił wesoło chłopiec, "i będę na to należycie zważał", dodał poważnie. "Czyń to przez całe życie, mój synku. Natenczas w całem życiu doznasz wiele błogosławieństwa!" dokończyła matka.

Z tego przykładu poznać można, jak łatwo ziarno padnie na dobrą rolę u dziecka, gdy się dziecko należycie rozumie. Dziecko słyszy i widzi inaczej jak człowiek dorosły; ma niejednokrotnie pojęcia, które ludzie krótkowidzący nazywają niedorzecznemi, nic nieznaczącemi. Wielką niesprawiedliwość czyni się małym, gdy jedynie z niecierpliwości lub wygody odprawia się je szorstką odpowiedzią lub nawet kłamstwem. Dla dobrej i sumiennej matki są właśnie te niewinne, dziecięce zapytania pożądanym środkiem do zaspokojenia żądzy wiedzy, do uszlachetnienia serca dziecka i do skierowania takowego na drogę dobrego i wszelkich cnót.

DOBRE RADY.

Cesarz grecki Bazyli dał synowi swemu, którego bardzo kochał, następującą dobrą naukę: nigdy mój synu, nie będziesz żałował żadnego czynu, jeżeli przy wszystkiem żywo sobie przedstawisz, że Bóg na ciebie patrzy i uważa; w ten sposób nigdy nie będziesz śmiał uczynić nic złego ani jawnie ani tajemnie, bo chociaż się będziesz mógł ukryć przed ludźmi, przed Bogiem, który przenika głębię serca, ukryć się nie będziesz mógł.

Gdyby ludzie więcej pamiętali o tem, w co wierzą, że Bóg jest wszędzie obecny i wszystko wiedzący, ileby to grzechów było mniej w uczynkach i słowach. Ile łez pokutnych nie płynęłoby. Złote słowa cesarza greckiego stósują się do starych i młodych, bogatych i ubogich, wysoko postawionych i prostaczków. Dla dobrych chrześcian słowa te rozumieją się same przez się, bo wiedzą, że Bóg widzi i zna nawet najtajniejsze nasze myśli i uczucia, i że musi karać za złe.

Nawet poganie wierzyli, że najtajniejsze sprawy nie są zakryte bóstwu. Grecki mędrzec Tales, zapytany, czy uczynki ludzi czasem jednak nie uchodzą uwadze bogów, odpowiedział: ani nawet myśli nasze, a to dla tego, abyśmy nie tylko ręce zachowali czyste lecz i serce, ponieważ wierzymy, że nawet najskrytszych naszych myśli świadkiem jest jakaś niebieska istota.

Inny mędrzec pogański, Cicero, woła: ktoby nie bał się Boga wszystko widzącego, wszystko badającego, wszystko sądzącego?

Słusznie powiada św. Kasyan, że wszechobecność Boga przykłada niejakoś grzechowi nóż do gardła, a cnocie otwiera wrota.

Chrześcijaninie, nie zapominaj nigdy, że chodzisz zawsze przed obliczem Boga, trzykroć świętego, że Bóg na cię patrzy i uważa, że Bóg ani nie może oszukać ani być oszukanym.

Niechaj ci będzie regułą przy wszystkiem co czynisz, że Bóg patrzy i słyszy wszystko, a nigdy nie zboczysz z prawej drogi, nieskosztujesz bólu i żalu. Dzieciom przypominajmy ciągle, że Bóg jest wszędzie obecny. Słuchaj, na co się skarży pewien człowiek: słyszałem zawsze jako dziecko: to grzech przed Panem Bogiem, wszystko widzącym. Zawsze z bojaźnią cofnąłem się przed złym czynem lub słowem. Teraz rodzice mówią: to jest niegrzecznie, to nie ładnie. Pokazuje się jakie owoce wydaje takie wychowanie. Mówią dzieciom: co o tem ludzie powiedzą. Rzadko matka powie: co Bóg wszystko widzący o tobie pomyśli sobie. Dla tego wielu ludziom więcej o to chodzi, aby się dobrymi być zdawali, aniżeli aby dobrymi byli, byle ludzie nie widzieli i nie wiedzieli, to o Boga się nie troszczą.

Nauczyciel: Jeżeli ojciec twój pożyczył 1000 marek, z warunkiem oddania ich w czterech równych ratach rocznych, ile winien będzie jeszcze po trzech latach?

Uczeń: Tysiąc marek.

Nauczyciel: Ależ chłopcze, ty nie znasz najpierwszych zasad arytmetyki.

Uczeń: Być może, lecz znam mego tatę.